



KIH- α

Kurier Instytutu Historii

№ 4/5 (20/21), R. III www.sknh.uni.lodz.pl styczeń/luty 2007

Drodzy **C**zytelnicy!

Po wyjątkowo długiej przerwie międzysemestralnej i wyjątkowo ciepłej zimie, przyszedł czas na wyjątkowy numer Kuriera... „KIH-a” wyjątkowa ponieważ podwójna, przez co grubsza i na dodatek zdaje się być, w większym jeszcze stopniu niż do tej pory, eklektyczna...

Numer ten poświęcamy pamięci Naszej przedwcześnie zmarłej pod koniec ubiegłego roku Koleżance Dorocie.



REDAKCJA

ZAPROSZENIE DO "KRAINY ŁAGODNOŚCI"

Pewnie okaże się u schyłku, że to, co mam po wielkiej walce, mieć mogłam całkiem bez wysiłku... Ten tekst to bynajmniej nie zachęta dla współstudentów do zminimalizowania naukowych starań, ale fragment jednej z piosenek z wydanej w grudniu ubiegłego roku drugiej autorskiej płyty Basi Stepniak-Wilk *Słodka chwila zmian*.

Wokalistka o niesamowitym, pełnym ciepła głosie urodziła się w Lublinie, a obecnie mieszka w Krakowie. Jest poetką, kompozytorką, autorką tekstów, ich wykonawczynią, a także artystką kabaretową.

Debiutowała w 1995 roku w Piwnicy pod Baranami i krakowskim kabarecie loch Camelot, z którym cały czas współpracuje. W tym samym roku otrzymała I Nagrodę na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Przez następne dwa lata współtworzyła, m.in. z Grzegorzem Halamą, Robertem Kasprzyckim i Kamilem Śmiałkowskim, formację *Zielone Szkielko*.

W 1998 roku otrzymała Nagrodę Grand Prix im. Jonasza Kofty na Ogólnopolskim Przeglądzie Piosenki Autorskiej (OPPA) w Warszawie, a także wydała swój pierwszy solowy album *O obrotach* (tytuł brzmiący bardzo historycznie, jak początek nazwy dzieła Kopernika). Utwory Basi Stepniak-Wilk znajdują się też m.in. na płytach: *Kraina Łagodności, Gitarą i piórem* (cz. III), a także Grupy Apokryficznej (znów nawiązania do historii – tym razem Kościoła), z którą artystka przez długi czas współpracowała.

Utwory z albumu *Słodka chwila zmian*, jak zresztą prawie wszystkie z gatunku poezji śpiewanej, nie należą do tych, które można na co dzień usłyszeć w komercyjnych stacjach radiowych. Wyjątek stanowią: piosenka tytułowa, a także *Bombonierka*, wykonywana przez wokalistkę w duecie z Grzegorzem Turnauem, które zajmują pierwsze miejsca na listach przebojów w Programie III, Radiu Łódź i... nowojorskiej rozgłośni FAMA. Natomiast teledyski do tych utworów internauci mogą obejrzeć na jednym z najpopularniejszych polskich portali.

Jednak *Słodka chwila zmian* jest warta posłuchania niezależnie od sukcesów, jakie odnosi. Zróżnicowana muzyka (od bossa novy po tango), teksty pełne subtelných metafor i porównań, a także piękny głos Basi stwarzają niepowtarzalny klimat i mogą łagodzić przedegzaminacyjny stres oraz uprzyjemniać długie, zimowe wieczory.

Więcej na temat albumu i samej artystki na Jej oficjalnej stronie internetowej: www.basiastepniakwilk.pl.

A na koniec, jako wsparcie w naukowych zmaganiach, dalszy fragment cytowanej na początku piosenki:

[...] *To wtedy westchnę: Chwała Bogu, że coś bolało, że pamiętam
Aż tyle stopni z wielkich schodów, ten cud przetrwania na zakrętach [...]*

Aleksandra Bohusz
aleksandra.b@retsat1.com.pl

PRO MEMORIA

27 grudnia 2006 roku w wieku 23 lat zmarła Dorota. Dla wszystkich znających Ją osób Ktoś wyjątkowy, niezapomniany.

Studia na naszym wydziale rozpoczęła w roku 2002. Niestety choroba zmusiła Ją do przerwania nauki na początku 2006 roku. Ciężko w kilku zdaniach opisać tak niezwykłą osobę, jaką była Dorota. Dla wszystkich zawsze serdeczna, miła, uczynna i z nieschodzącym z Jej twarzy uśmiechem. Właśnie taką Dorotę wszyscy zapamiętamy i taka była do końca.



Pomimo ciężkiej choroby nie dała się złamać, zawsze potrafiła wprowadzić spokój i radość, gdziekolwiek się pojawiała. Tak naprawdę przebywając w Jej towarzystwie nikt nie myślał o tym, jak wielkie nieszczęście Ją dotknęło. Roztaczała wokół siebie niesamowitą aurę, każdy, kto Ją znał, doskonale wie, co mam na myśli.

Tym trudniej pogodzić się z Jej odejściem, myślę jednak, że dopóki pamięć o Dorocie nie przeminie, Ona tak naprawdę zawsze będzie z nami. Uważam, że niewiele osób tak potrafi cieszyć się każdą chwilą swojego życia, jak robiła to Dorota. Wszystkie te słowa nie są w stanie oddać, jaka naprawdę była, każdy, kto Ją znał, zapamięta Ją na swój bardzo osobisty sposób. Przede wszystkim jednak była dobrym człowiekiem i ta ogromna dobroć, którą nas obdarzyła, pozostanie na zawsze z nami...

Przyjaciele

„PODGÓRZE ZNACZY GREMBACH”

Dla jednych mieszkańców robotniczych familioków przy ul. Czechosłowackiej (zwanych przez niektórych „baraczkami”) brak większych wygód, ciepłej wody, kanalizacji i centralnego ogrzewania stanowi powód do skarg i narzekań. Dla innych, życie na Grembachu z dala od miejskiego gwaru, wśród znajomych ludzi stanowi bodaj największą korzyść. Warto więc poświęcić więcej uwagi temu niezwykłemu miejscu, o którym rzadko wspomina się w przewodnikach, które dla miłośników reymontowskiej Ziemi Obiecanej nie stanowi żelaznego punktu wycieczek.

Na oficjalnych planach miasta Łodzi obszar zamknięty w przybliżeniu w kwartale ulic Niciarnianej i Lewarowej oraz linii toru kolejowego, biegnącego do Dworca Łódź Fabryczna i nitki kolei obwodowej Stary Widzew-Stoki-Zgierz nosi nazwę Podgórze. Obok urzędowo przyjętej nazwy funkcjonuje niemniej także określenie potoczne, trwale zakorzenione w świadomości mieszkańców tego miejsca. Tą nieformalną nazwą jest Grembach. Tajemnicza to nazwa dla tajemniczego miejsca, w którym mimo niedogodności (w części nadal pozbawione jest kanalizacji i centralnego ogrzewania, wiele ulic nadal pokrytych jest „kocimi łbami”) wręcz hipnotyczny, niczym niezmacony spokój przyciąga jak magnes ludzi spragnionych jednocześnie ciszy i bliskości centrum. Drewniano-murowane domki na kilkunastu bliźniaczo do siebie podobnych uliczkach toną pośród drzew i przydomowych sadów, spowite wydobywającym się z kominów węglowym dymem.

Chcąc poznać przeszłość tego urokliwego miejsca należy cofnąć się do początków ubiegłego stulecia, do sławnych czasów włókienniczej potęgi Łodzi, Ziemi Obiecanej i *Tysiąca łódzkich kominów*. Wówczas o tym miejscu starzy widzewiaczy zwykli mówić *góry, doły, kamienie, błoto i więcej nic*.

Zamieszkali wówczas w okolicznych wioskach rolnicy, na ogół koloniści niemieccy, zwykli przejeżdżać tamtędy udając się do miasta, a ponieważ było tu i zielono, i trochę wody, miejsce to nazwali *Grünbach* – (zielone miejsce). Mimo upływu lat określenie, choć zmodyfikowane *Grinbach* oraz spolszczone obecne Grembach, zaczęło funkcjonować w powszechnym obiegu jako potoczna nazwa dla tego obszaru. Co ciekawe, nazwę *Grinbach* można jeszcze odnaleźć w przedwojennych łódzkich dziennikach urzędowych.

Tradycyjnie rolniczy charakter okolicy uległ zmianie, gdy obszarem tym zaczęli interesować się przemysłowcy i przyciągnięci magią Łodzi przybysze, szukający miejsca pod osiedlenie. Od pierwotnie władających tymi gruntami widzewskich chłopów kupowali w zależności od posiadanych środków mniejsze bądź większe działki, na których wznosili swoje nowe domy. W efekcie na kilkunastu uliczkach powstała kolonia mieszkalna niekiedy murowanych budynków majstrów tkackich i lepiej sytuowanych robotników oraz tandetnie wykonanych jedynie z drewna i papy tzw. *paulek*, należących do najbiedniejszych. Świetny opis migracji i urządzania się na Podgórzu zawarł w książce *Tygiel* (Łódź 1985) Antoni Rydlewski. Opisywany przez niego główny bohater, Józef Kałuża, chłop spod Łęczycy, osiedlił się na tym przedmieściu wnosząc przez kilkanaście lat pełnych wyrzeczeń i trudu własny, prowizorycznie wykonany dom. Przez pryzmat tej historii autor ukazał dynamiczną, a zarazem niekontrolowaną przez nikogo rozbudowę tego dotychczas słabo rozwiniętego obszaru. Tego typu podobnych przykładów jest zapewne w okolicy więcej.

Grembach przyciągnął swoim obszarem również przemysł. Grupa znanych ówczesnie kapitalistów z Juliuszem Kunitzerem oraz Juliuszem i Ludwikiem Heinzłami na czele

postanowiła, wykorzystując pomyślną koniunkturę na tasiemki i nici, przenieść w 1897 roku Łódzką Fabrykę Nici, której byli akcjonariuszami, w bardziej dogodny i umożliwiający rozbudowę miejsce. Tym sposobem, szukając odpowiednich gruntów, trafili na Podgórze. Miejsce to okazało się być wprost idealne dla inwestorów. Doskonała lokalizacja tuż przy Szosie Rokicińskiej zapewniała, podobnie jak linia kolejowa fabryczno-łódzka, swobodny dowóz surowców i wywóz produkcji. Decyzja o budowie zapadła. W szybkim tempie powstał jedyny tego typu na terenie ówczesnego Królestwa Polskiego kompleks fabryczny.

Z czasem większościowy pakiet akcji fabryki znalazł się w rękach angielskiego koncernu. Również wykwalifikowanych specjalistów i specjalistyczne maszyny sprowadzono z Anglii. Zdaniem niektórych, to właśnie nie kto inny, jak angielski personel zaszczerpił i rozpowszechnił na gruncie łódzkim zasady gry w piłkę nożną (w 1936 roku zorganizowano dla pracowników przyfabryczny klub sportowy T. S. „Podgórze”, m. in. z sekcjami piłki nożnej i tenisa).

Wraz ze wzrostem produkcji rozbudowywano kompleks fabryczny. Powstały kolejne oddziały, bocznica kolejowa, systematycznie unowocześniano park maszynowy, a na potrzeby pracowników urządzono szpital oraz przystąpiono od 1904 roku, analogicznie jak w przypadku większości dużych łódzkich zakładów włókienniczych, do budowy własnego osiedla robotniczego. Pierwsze parterowe domy powstały już w 1906 roku i zgodnie z planami miało być ich dwanaście, jednak analizując plan sytuacyjny z 1929 roku dostrzegamy, że liczba budynków wynosiła jedynie sześć. Część robotniczej kolonii Łódzkiej Fabryki Nici stoi do dnia dzisiejszego. To w niej właśnie mieszkał trzon załogi popularnej „Niciarni”. Reszta z wahającej się w granicach sześciuset osób grupy (w przeważającej większości były to kobiety) mieszkała w swoich własnych domach, bądź wynajmowała izby w pobliżu kompleksu.

Do 1939 roku Towarzystwo Akcyjne Łódzkiej Fabryki Nici prosperowało w zasadzie bez zarzutów. Zdarzały się wprawdzie strajki i momenty kryzysów, jednak spółka wychodziła z nich obronną ręką. Posiadała dzięki angielskim właścicielom szerokie kontakty i rynki zbytu. Po zajęciu Łodzi przez hitlerowskich okupantów w 1939 roku fabrykę przejęli Niemcy, nazywając *Litzmannstadter Fabrik für Nahgarne*, a ulicę Niciarnianą, przy której się znajdowała, *Idastrafße*. Do 1945 roku fabryka produkowała nici z włókien sztucznych dla potrzeb przemysłu lotniczego.

Po zakończeniu wojny łódzki zakład ruszył z produkcją nici na potrzeby odbudowującej się z ruin Polski. Upaństwowiono fabrykę, zmieniając jej historyczną nazwę na ZPB im. Hanki Sawickiej.

W latach 90-tych XX wieku zakład przekształcono w spółkę akcyjną, a trzy lata później został sprywatyzowany.

Dotychczas ukazała się praktycznie tylko jedna próba scharakteryzowania Podgórza i to bardziej w formie opowieści niż ujęciu historycznym, autorstwa Michała Galewskiego, w poświęconej Łodzi książce zatytułowanej „Ucieczka przedmieścia” (Łódź 1963). Z wielu interesujących spostrzeżeń, jedno wydaje się nadzwyczaj trafne i tym samym godne przybliżenia – *Na kilkudziesięciohektarowym obszarze, wznoszącym się na północ lekko ku górze wydaje się przepięknym parkiem. Szmat intensywnej zieleni poprzecinany jest jednak szarymi tasiemkami uliczek, wzdłuż których czernią się większe i mniejsze prostokąty dachów.* Trudno autorowi w tym opisie nie przyznać racji. Miejsce to nadal emanuje dostojnością i nostalgią, szczególnie wiosną, gdy zakwitają drzewa oraz jesienią, kiedy mieniąca się tysiącami odcieni złota i czerwieni przyroda szykuje się do zimowego snu.

W przeciągu niespełna czterdziestu lat od czasu publikacji wspomnianej książki, obraz tego

miejsca, bądź co bądź nierozzerwalnie związanego ze Starym Widzewem, nadal nosi w sobie ślady dawnej specyficznej odmienności.

Dziś po włókienniczej potędze Łodzi pozostało jedynie wspomnienie. Jednak na Grembachu w cieniu nadal pracującej fabryki nici Ariadna SA życie jak przed dziesiątkami lat biegnie swoim rytmem. Dzieci chodzą do szkoły na Mazowiecką, dorośli pracują, na Czechosłowackiej stoi nadal nieukończony gmach Centrum Kliniczno-Dydaktycznego Uniwersytetu Medycznego. W sennej atmosferze, zatopione w przyrodzie Podgórze znaczy Grembach.

Arkadiusz Dąbrowski
adabrowski44@wp.pl

Z dziennika Grafomana

Niniejszy artykuł kończy zapoczątkowaną w zeszłym roku akademickim serię „Dobra klasyka nie jest zła”. I jako taki jest swoistym epitafium dla rubryki, do której powstać miały jeszcze teksty mówiące o *Pancerniku Potiomkinie* Eisensteina, *Dybuku* Waszyńskiego, *Nieustraszonych zabójcach wampirów* Polańskiego, *Pieskim popołudniu* Lumeta, *Dyskretnym uroku burżuazji* Buñuela, *Psie andaluzyjskim* Buñuela i Dalego *etc.* Zamiast tego proponuję refleksję. Na dźwięk tego złowieszczego brzmiącego słowa, *refleksja*, zapewne część z Was ma ochotę przestać czytać. *C'est la vie.*

Czym jest dla nas sztuka? Czy jest to tylko element kultury, który ma nam *zapchać* wolny czas? Co nam daje i po co się nią w ogóle przejmować? Wiem, że odpowiedź będzie subiektywna. Ale co nie jest? Postaram się jednak odpowiedzieć w pierwszej osobie mając tylko odrobinę nadziei, że ktoś może się zgodzi z moim zdaniem.

Sztuka to mocne słowo. Nie trzeba już mówić: *To jest sztuka przez duże „s”*. Jeżeli o tej, czy innej rzeczy mówi się, że jest sztuką, od razu traktuje się ją bardziej serio.

[...] *I tak ja widzę przyszłą w Polsce sztukę,
Jako chorągiew na prac ludzkich wieży,
Nie jak zabawkę ani jak naukę,
Lecz jak najwyższe z rzemiosł apostoła
I jak najniższą modlitwę anioła [...].*

(C. K. Norwid, *Promethidion*)

Mamy wobec niej większe oczekiwania. Jesteśmy bardziej krytyczni. Bo jeżeli ktoś tworzy coś, aby było lekkie, łatwe i przyjemne, to akceptujemy tę konwencję. Jednak, jeśli twórca traktuje swoją pracę serio, uważa się za artystę, nikt nie powie, że to *tylko dla gawiedzi*. Publikacja uzna owoce jego mąk albo za sztukę, albo za grafomanię, kicz. Porywanie się z motyką na słońce. Stąd na przykład wysoka frekwencja na wszelkiego pozał się Boże komedyjkach, wysoka sprzedawalność miernej literatury. Człowiek, jednostka społeczna, w dużej mierze nie chce lub nie umie traktować sztuki jako elementu swojego życia. Teraz powinno podnieść się larum. *Jak to? Jak możesz wymagać, aby osoba pracująca dziesięć godzin dziennie, albo i dłużej, wracająca zmęczona do domu, miała jeszcze siły, by oglądać Bergmana, czytać Kunderę, słuchać jazzowej awangardy, albo opery?* Nie rozpatrujmy sprawy tak skrajnie. Nigdy nie osiągniemy ideału, tego, by całe społeczeństwo chciało się „ukulturalniać”.

Nie o to chodzi. Można śmiało powtórzyć za Gombrowiczem, że *Sztuka jest arystokratyczna do szpiku kości, jak książę krwi. Jest zaprzeczeniem równości i uwielbieniem wyższości.*

Dlaczego osoby, które są *jako tako* wykształcone, marnują czas na czytanie kiepskiej literatury pokroju Harry'ego Pottera? Nie przeczę, że fabuła tej książki może się podobać, jednak, jeżeli pod względem literackim, formalnym, innowacyjnym, nie jest nawet przeciętna, to czemu się ją czyta? Zarzuca czytelnika banałami, które są maglowane w kolejnych tomach? Z drugiej strony ci sami ludzie sprawili, że dzieło Patricka Süskinda *Pachnidło* stało się bestsellerem. Nie wierzę, że przyciągnęła ich tylko niewielka ilość stron¹. Nie tłumaczy też tego fakt dokonania ekranizacji przez Toma Tykwera, gdyż książka sprzedawała się świetnie na długo przed jakimikolwiek wieściami o filmowej wersji.

Ale Harry Potter to bajka. Dobrze. Dam więc przykład tego samego gatunku. Tetralogia o czarnoksiężniku z Archipelagu Ursuli Le Guin. Fakt, to stara pozycja. Znają ją głównie miłośnicy gatunku. Jednak *Saga o Wiedźminie* czy *Władca pierścieni* dziś święcą swe największe triumfy, a spora część ludzi – choć w tym przypadku nie jest to aż tak ogromna liczba – nie dostrzega różnicy między nimi, a książkami J. K. Rowling.

Podobna dychotomia zachodzi, gdy idzie o film czy muzykę. Ta sama publiczność, która słucha disco polo, czy też utworów o zaletach depilacji żeńskiej części populacji, doprowadziła na szczyty list przebojów *In my secret life* Leonarda Cohena. Ci sami ludzie, którzy chodzą na *xXx*, zapychają sale kinowe na pokazach niemego kina rosyjskiego, czy odnowionych cyfrowo filmów Bergmana. Kiedy dwa lata temu w „Cytrynie” emitowano *Nosferatu – symfonię grozy* Murnaua, nie starczyło miejsc siedzących. Ludzie siadali na schodach. Siadali sobie na kolanach. A po filmie wychodzili w zdecydowanej większości pod wrażeniem. Zaś duża część spośród rozczarowanych twierdziła, że Klaus Kinski jako wampir u Herzoga był lepszy.

Z jednej strony można rozumieć to zjawisko, jako rozróżnianie rzeczy do zachwyty od tych, przy których mamy się odprężyć. Z drugiej, a obawiam się, że z tym mamy właśnie do czynienia, społeczeństwo nie widzi większej różnicy między sztuką a całą resztą. Teraz ktoś z Was, o ile jeszcze to czytacie, powinien powiedzieć: *Ale zawsze tak było.* Jest w tym spora część prawdy. Nie wymagam jednak, żeby chłop, który właśnie wrócił z pola, zabierał się za czytanie Parnickiego. Wydaje mi się, że nie jest winą zwykłego czytelnika, widza, tudzież słuchacza, iż dostaje swego rodzaju schizofrenii. Nie jest jego winą, że nie widzi między sztuką a miernotą różnicy. Duża część społeczeństwa po prostu nie została nauczona odróżniać tych dwóch rzeczy. Nawet tak zwani wykształceni ludzie mają z tym problem. Skoro zaś nie wiedzą – nie potrafią dokonać w pełni świadomego wyboru. Czym innym jest bowiem dostrzeganie tej różnicy i decydowanie się na głupi film, bo akurat dziś mamy na to ochotę, czym innym zaś stwierdzenie *no niezła rzecz, ale tamta strzelanina też mi się podobała.*

O ile wydawnictwa muzyczne i literackie zapewniają mimo wszystko alternatywę dla rzeczy pokroju *A wszystko to, bo ciebie kocham*, o tyle od dłuższego czasu kino światowe przeżywa kryzys, a polskie całkowity regres. Pamiętam, jaki straszny był szum wokół *Pręg* Magdaleny Piekorz. Tylko, czym się tak zachwycano? To był dobry film. Podobał mi się, lecz nie można go nazwać arcydziełem, ani nawet filmem bardzo dobrym. Po prostu wszyscy się cieszyli, że nakręcono pierwszy od dłuższego czasu film, którego nikt, wybaczcie wulgaryzm, nie schrzanił. Kręci się kolejne pozycje, w których grają aktorzy z telenowel, i które tak, jak owe tasiemce są puste i nic nieznaczące. Podziwianie Macieja Zakościelnego czy Małgorzaty Foremniak leży poza moimi możliwościami psycho-fizycznymi, zatem proszę o wybaczenie.

¹ Notabene najgrubsze książki o wspomnianym czarodzieju przekraczają pięćset stron.

Błąd leży w edukacji. Na lekcjach muzyki uczy nas się o Chopinie, Moniuszce, Smetanie czy Mozarcie; czasem się puści fragment i możemy się cieszyć, bo nie słyszymy nudzenia nauczyciela. Dlaczego się jednak nie mówi, co to jest jazz, blues, rock? Czemu dzieciaki kończące szkoły nie wiedzą o tym nic, chyba że usłyszały przypadkiem w telewizji, przeczytały w internecie, albo są zapaleńcami? Czemu nie można poświęcić jednej lekcji polskiego na analizę tekstów raperów? Bo jak utwory literackie należy je traktować, często wartościowe, nie jak muzykę.

Zamiast tego mamy ciągnące się w nieskończoność opisy przyrody u Orzeszkowej, przesłaniające nikłość fabuły. Nawet nie da się uznać tego za świadome spłytenie wątków na rzecz wrażeń estetycznych. Serwuje się ludziom dużą ilość kiepskiej literatury tylko dlatego, że jest to dziedzictwo narodowe. Sztandarowym przykładem są tu *Szyzyfowe prace*. Mierna i nudna książka. Ale musimy ją czytać, bo jest w niej ukazane cierpienie narodu polskiego pod jarzmem zaborców. *Przedwiośnie*² to co innego. Dobra pozycja. Ciekawe ujęcie społeczeństwa i rozwiązania formalne; doskonale stworzony mit szklanych domów. Potok nudy można by było jeszcze zaakceptować, gdyby równoważył się z rzeczami dobrymi. Jednak w zamian z programu nauczania wyrzuca się Gombrowicza. Pięknie, *upupiajmy* społeczeństwo.

Zbawienną rolę odgrywa jednak zjawisko, które mnie osobiście bardzo irytuje. Chodzi mianowicie o snobizm intelektualny. Są ludzie, którzy jeżeli przeczytają jakąś pozytywną recenzję, filmu, książki czy płyty od razu stwierdzają, że muszą się z tym zapoznać. Nie dlatego, że faktycznie chcą przeczytać książkę, zobaczyć film, wysłuchać muzyki. Chodzi o to, żeby być na bieżąco z nowościami, żeby móc się pochwalić. Nieważne jest czy rzeczywiście ta rzecz mu się spodoba. Powie: *Tak*, bo przeczytał, że powinien się zachwycić. A przecież *Stalker* Tarkowskiego, *Lizard King* Crimson czy *Czerwone i czarne* Stendhala mają prawo się nie podobać.

Jak już napisałem, ów snobizm ma swoje pozytywne strony. Wiele osób nigdy nie sięgnęłoby po *Sto lat samotności* Garcii Marqueza, *Dark Side of the Moon* Pink Floyd czy *Trzy kolory* Kieślowskiego, gdyby nie takie podejście.

Zdajemy się zatem być zamknięci w błędnym kole systemu, w którym nie kształtuje się wrażliwości kulturalnej. W systemie, gdzie większość nauczycieli muzyki nie widzi różnicy między progresywno metalową skomplikowaną muzyką Dream Theater, której członkowie posiadają klasyczne wykształcenie muzyczne, a zwykłym rzępoleniem dużej części ulicznych grajków. W systemie, w którym wpaja się, że *Sowacki wielkim poetą był* i kropka³. W systemie, w którym mamy się cieszyć z największego nawet chłamu, bo jest polski⁴. W systemie, w którym nie uczy się ludzi, że w teatrze wylacza się telefon i nic nie spożywa. Że nie można wejść do gmachu opery w dżinsowej kurtce, nieogolonym, z tłustymi włosami.

Gabriel Garcia Marquez napisał: *To byłby koniec tego zasranego świata, gdyby literatura musiała podróżować wagonem bagażowym* (G. Garcia Marquez, *Sto lat samotności*). Czy kupowanie książek na wagę nie sprowadza się do tego?

Czym zatem jest sztuka?

Dla mnie obcowanie z nią jest jednym z najpiękniejszych przeżyć.

Moje serce rośnie niczym balon, który ma za chwilę pęknąć. A później przypominam sobie, żeby się odprężyć i przestać trzymać się tego kurczowo. A wtedy przebiega przeze

² Tego samego autora!

³ Choć uważam, że był.

⁴ Przepraszam bardzo, ale świetne role B. Lindy i J. Treli nie są w stanie uratować *Quo vadis*. Ciągłe mi dźwięczą w głowie śmiechy publiczności w kinie.

mnie jakby deszcz i nie jestem w stanie czuć nic innego niż wdzięczność za każdą chwilę mojego małego, głupiego życia. (American Beauty, reż. Sam Mendes)

Jest możliwością wzbogacenia się w jakiś niematerialny sposób. Uszlachetnienia własnej marnej egzystencji. Ona nie nadaje sensu życiu, nie jest życiem i go nie zastępuje.

Jarosław Iwaszkiewicz powiedział:

Kocham książkę dlatego, że wprowadza mnie w mój własny świat, że odkrywa we mnie bogactwa, których nie przeczuwałem.

Sztuka nie jest odwzorowaniem rzeczywistości, jest wariacją na jej temat. Każdy, kto Wam powie, że ogląda telenowełe, bo to jest *samo życie*, kłamie. On tylko chce, żeby tak wyglądało.

Jest w tym artykule wiele kategoriycznych stwierdzeń. Trochę rzeczy, które mogą się wydać komuś niesprawiedliwe bądź obraźliwe. Zdaję sobie z tego sprawę, choć nie chciałem nikogo dotknąć. Czekam aż ktoś powie: *Mylisz się. Nie masz racji*. Aż napisze do „KIH-y”, co opublikujemy. Bo chcę się mylić, chcę żeby ktoś miał odmienne zdanie. To by znaczyło, że nie jest tak źle, bo komuś zależy. I może, jeżeli doczytałeś do końca ten mentorski, grafomański i naiwny tekst uważasz, że dzieło to coś więcej niż *wypasiony* zapychacz czasu. Może dostrzeżasz miękkość zegarów. Może wiesz, że *jam częścią tej siły, która zła pragnąc wiecznie czyni dobro*. I może wiesz, na jaką rzekę chciała mieć widok Lucy Honeychurch.

Może... Ale *złożmy to na karb Beethovena*.

Przemysław Damski
damen32@wp.pl

KONIEC ERY GWIAZD.

Dziewięciokrotny zdobywca Pucharu Europy, dwukrotny zdobywca Pucharu UEFA, dwudziestodziewięciokrotny mistrz Hiszpanii, siedemnastokrotny zdobywca Pucharu Hiszpanii, zdobywca Superpucharu Europy i dwa razy Pucharu Interkontynentalnego. Tak można w skrócie przedstawić historię najbardziej utytułowanego klubu piłkarskiego świata – Realu Madryt, który 18 marca tego roku obchodzi swoje sto piąte urodziny.

Od pewnego czasu, a konkretniej od 2003 roku, Królewscy nie zdobyli żadnego tytułu. Regularnie odpadają z rozgrywek o Puchar Króla, oraz w ćwierćfinale Ligi Mistrzów. Gdy nadarzy się okazja na zajęcie pierwszego miejsca w tabeli ligi hiszpańskiej, Real sensacyjnie przegrywa z outsiderem typu Levante...

Podobne kryzysy trwały w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, miały one jednak inne podłoże od tego, które teraz decyduje o sile lub słabości klubu. Mamy bowiem do czynienia z fenomenem na skalę światową. Od kilku lat w Madrycie zapadały decyzje o zakupie megagwiazd światowej piłki. Za setki milionów euro dokonywano spektakularnych transferów takich zawodników jak Zinédine Zidane, Luis Figo, David Beckham, czy Ronaldo. O ile dwaj pierwsi zostali kupieni jeszcze za czasów, gdy Realowi się wiodło i walnie przyczynili się do zdobywania ważnych trofeów, jak Liga Mistrzów, to gra pozostałych pozostawiała wiele do życzenia, choć mieli przebłyski geniuszu (zwłaszcza na początku madryckiego etapu kariery).

Przez kilka sezonów era Galacticos – jak nazywano od przesytu gwiazd Real –

doprowadziła do kryzysu. Najlepsi trenerzy świata nie mogli sobie poradzić z rozkapryszonymi gwiazdami. Gwiazdy grały egoistycznie i nie potrafiły zlać się w jeden zespół, stanowiąc jedynie zbieraninę ekskluzywnych, podstarzałych eks-geniuszy.

Każdy nowy trener przychodzący do klubu wyjeżdżał zeń w kaftanie bezpieczeństwa. Kibice są coraz bardziej załamani, bo Real, mimo że jakimś dziwnym trafem co roku kończy rozgrywki ligowe na miejscach 2-4, które nadal premiuja do gry w Lidze Mistrzów, to gra Królewskich, jak i wyniki, do zachwycających nie należą. Kiedy zobaczymy powrót wielkiego Realu Madryt na szczyty? Przed obecnym sezonem próbowano wmawiać kibicom, że od sezonu 2006/2007 będzie inaczej. Próbowano wcisnąć kibicom kielbasę przedwyborczą (bo były wybory na prezesa klubu), obiecując zatrudnienie najlepszych piłkarzy świata, w tym dziadków, którzy, jako świetni aktorzy, dziwnym trafem zdobyli mistrzostwo świata.

Po mistrzostwach świata na niemieckich boiskach (a właściwie na kilka minut przed ich zakończeniem), Zinedine Zidane postanowił zakończyć karierę (i miał ją z głowy), a jego matka zażądała kastracji człowieka, który „pomógł mu” zejść z boiska na wieki. W zespole z Madrytu z Galaktycznych zostali jeszcze Beckham i Roberto Carlos – bez formy, Ronaldo – „Hamburger” (popsuł formę piłkarską przez dietę polegającą na objadaniu się w *fastfoodach*). W końcu przyszedł włoski trener Fabio Capello. Zapowiedział zmiany i poprosił kibiców o 50 dni na zgranie zespołu, zakupienie nowych zawodników i... potem miało być super.

Zmiany rzeczywiście nastąpiły. Real gra piłkę nudną i defensywną, i co najdziwniejsze przy defensywnym stylu gry, prawie co mecz traci bramkę – nie strzelając żadnej. Minęło nie 50 a 200 dni, a Capello przegrywa lub remisuje mecze ze słabeuszami. Stawia na zawodników, których zabrał ze sobą z Juventusu, który prowadził przez kilka sezonów, tyle że ci zawodnicy nie radzą sobie, gdy trzeba grać w silnej, szybkiej lidze hiszpańskiej. Zespół gra brzydko, strzela mało bramek, a do tego klub traci pieniądze, bo odchodzi marketingowa podstawa klubu w postaci Davida Beckhama. Może to i lepiej, bo Królewscy zamiast grać, zajmują się uczestnictwem w reklamach i robieniem pieniędzy, a przecież jeśli nie będzie rezultatów, nikt nie będzie się nimi interesować i ich wartość marketingowa i boiskowa może spaść niemal do zera... *Nic to*. Jest jeszcze Raul, Guti, Helguera, Salgado i Casillas, czyli wielcy spadkobiercy najpiękniejszego moim zdaniem finału Ligi Mistrzów z Valencią, wygranym przez Królewskich 3:0 w wielkim stylu. To oni razem z kilku młodymi zawodnikami podtrzymują ten wałący się gmach na swych barkach i przesadzają o formie madryckiego klubu. Może uda się w tym sezonie zdobyć Ligę Mistrzów lub mistrzostwo Hiszpanii... Kto wie? Choć to chyba nadal pozostaje tylko w sferze marzeń wiernego kibica. Jedno, co jest pewne to to, że musi wrócić ład i porządek.

Kibice coraz głośniejsze domagają się powrotu trenera, który kilka lat temu osiągnął wszystko z Realem – chodzi oczywiście o Wincentego z Lasu (Vicente del Bosque). Należy też usunąć „włoski desant” – Emerson, Cannavaro, Capello i Cassano, i za pieniądze za tych zawodników kupić młodych, szybkich i uzdolnionych technicznie. Właściwie można ich mieć za darmo, bowiem Królewscy mają silną młodzieżówkę, która dostarczała dotąd zawodników tylko na eksport, zamiast przyjąć ich do pierwszego składu. I to jest właśnie klucz do zakończenia ery galaktycznych – stawiać na młodych, zdolnych, ambitnych zawodników i dawać szczęście kibicom, i przypomnieć całemu światu o wielkości Realu!
Hala Madrid!

Wojciech Bogusławski

funkyfilu@tlen.pl

Pewnego dnia, na jednym z nieoficjalnych, jednakże ważkich w wydarzenia spotkań Koła, obecny skarbnik SKNH, znany pod ksywkami Malkontenta i Marudy (toleruje nazywanie go tą drugą) stwierdził, że warto by zażyć kultury wysokiej i wykosztować się na snobistyczną rozrywkę, jaką bez wątpienia jest opera w Teatrze Wielkim, albowiem kol. Monika ma wejścia, wtyki i może taniej załatwić. *Ma rację, odchammy się!* zakrzyknął gromkim głosem na takie *dictum* Nowy, Większy (NW) Gensek. Prezes również poparła inicjatywę, aczkolwiek wyraziła to w sposób mniej ludyczny i bardziej wyrafinowany. Trol/Vice powiedział *O, do teatru, bardzo fajnie, bardzo fajnie*, ale on prawie zawsze tak mówi, więc trudno stwierdzić, czy to się liczy, czy nie. Generalnie Zarząd był za, a Koło nie miało nic przeciwko. Pozostała kwestia, na co i kiedy idziemy. Proponowana była *Aida* (o problemach faraonów – najbardziej znany motyw to marsz triumfalny), a skończyło się na *Traviacie* (o problemach imprezowiczek – znany motyw to *Pijmy na chwałę miłości*; teraz wiecie, czemu Koło wybrało jedną operę zamiast drugiej, prawda?).

Data spektaklu był czwartek, 18 stycznia roku 2007. Dzień ten zresztą okazał się **burzliwy** i obfitujący w wydarzenia dla całego kraju... Ale nie uprzedzajmy faktów. Najpierw trzeba było zdobyć bilety. Nasz skarbnik trudził się straszliwie, usiłując zebrać kasę, sprzedać bilety, zagonić Koło do roboty i dogodzić wszystkim, a Koło jak zwykle odpłacało mu się niewdzięcznością i niewybrednymi żartami. Podczas jego epickich perypetii zdarzyły się takie rzeczy jak zaginięcia, cudowne odnalezienia, nagłe rezygnacje i równie nagłe zgłoszenia. Jednakże w Zarządzie SKNH raczej rzadko siedzi byle kto, więc Maruda sobie z tym wszystkim poradził.

W końcu nadszedł dzień przedstawienia... Od rana nastroje były podniosłe. Stroje też. A przynajmniej w przypadku Pani Prezes, która od rana chodziła w szykownej, biało-czarnej kreacji i seksownych kozaczkach. Reszta SKNH przebrała się przed samym teatrem, znaczy, przed przedstawieniem – widok Koła, które przebiera się przed Teatrem Wielkim byłby jedyny w swoim rodzaju, przyćmiłby samo przedstawienie. Męska i szorstka część Koła przebrała się, jak jeden mąż, w garnitury od egzaminów i wyglądała dostojnie – z wyjątkiem mgr. Szadoła, który ubrał się tak, że jednocześnie mógł udawać, że do nas przynależy, lub nie, w zależności od okoliczności. Kobieca i piękna część wyglądała bosko i niebiańsko (*sorry*, muszę to napisać) w kreacjach, które nierzadko nie widziały światła dziennego od studniówki.

Przedstawienie rozpoczęło się prawie punktualnie. To znaczy o 19.00 zaczęła grać muzyczka, a my tępo patrzyliśmy na kurtynę (fachowo to się uwertura nazywa). Potem kurtyna poszła w górę i zobaczyliśmy imprezę, na której panie były w sukniach *à la* beza, a panowie w smokingach. Pito wino z butelek podejrzanie przypominających te od szampana Piccolo. Generalnie, było widać, że dobrze trafiliśmy. Wszyscy śpiewali, jednak z widowni nikt się nie dołączył. Uznawszy, że takie zwyczaje panują w Teatrze, Koło też siedziało cicho. Pierwszym (no, prawie) utworem był wspomniany już *Pijmy na chwałę miłości*, co spowodowało wielki, widoczny dwa rzędy dalej uśmiech u NW Genseka. Tutaj mały wtręt – opera to takie coś, gdzie śpiewa się raczej w obcych lub zaprzyjaźnionych językach, a o co im wszystkim chodzi i dlaczego robią głupie miny, widzowie dowiadują się z libretta (sprzedawane osobno), albo z napisów, które są wyświetlane nad sceną, na dość kiepskiej jakości wyświetlaczu. Same napisy, cóż, niestety nie są ściągane z internetu – i przez to, jeden o treści „Kocham go, ale też lubię imprezy, więc nie wiem, co zrobić, Boże-sz ty mój Boże” potrafi być wyświetlany przez pięć minut dialogu głównych bohaterów. No, ale może śpiewają bardzo rozwlekłe. Duet ten zresztą dało się rozpoznać dopiero, gdy ekipa stanowiąca tło wyszła; był mało atrakcyjny, mimo podświetlania przez reflektory. Tenor łysiał i potykał się o krzesła, a także notorycznie przydeptywał bezową suknię Sopranu. Ale śpiewali ładnie,

tak, że w antrakcie (trudne słowo; tak się przerwy w teatrze nazywa.) mgr eks-Gensek, zwany Nadgorliwcem, który także zaszczylił nas swoją obecnością, podśpiewywał sobie niektóre fragmenty, ku zgorszeniu obsługi. Reszta SKNH rozpełzła się po czeluściach teatru, aby imponować suknią i figurą, a także w sobie wiadomych celach.

Drugi akt upłynął pod znakiem arii na baryton, sopran i dzwonek polifoniczny „kaczuszki”. Nie wiadomo było, czy to prowokacja polityczna, ktoś zrobił dowcip, czy zwyczajnie zapomniał wyłączyć. Przyznać wszak trzeba, że dzwonek wkomponował się w tonację, więc z początku niektórzy myśleli, że to po prostu kolejny instrument, grający nowy, ale skądinąd znany motyw. Niestety utwór szybko przerwano. Pod koniec aktu sił próbowała jakaś stara Nokia, ale niestety, nie miała polifonicznych dzwonek. W samym akcie suknie sopranu, ozdobioną zielonymi wstążeczkami (jako że akcja ma miejsce na wsi) przydeptywał równie skutecznie tenor, co baryton, grający jego ojca. Na szczęście nikt się nie przewrócił, tylko pewien bardzo Czepialski członek Koła stwierdził, że ojciec jest młodszy od syna – ale cóż, takie uroki opery. Trzeci akt zaczął się z powrotem na imprezie. Niestety, tym razem do opery dołożono nam balecik. Była to zdecydowanie najsmutniejsza rzecz podczas przedstawienia, smutniejsza nawet od śmierci głównej bohaterki. Najpierw weszły cyganki, które wyglądały na lekko przestraszone, tańczyły wyjątkowo niesynchronicznie – lepsze zgranie widziałem na „Święcie kwiatów, warzyw i owoców” w Skierniewicach przy wystąpieniu miejscowego zespołu młodzieżowego – a potem się zmyły w głąb sceny i ruszały spódnicami; następnie wyświetlił się tekst „wchodzą torreadorzy” i weszły... jakieś wypłosze (w strojach ładnie podkreślających łydki, jak stwierdziła potem Prezes), które miałyby problemy z pokonaniem ciężko chorej krowy, a co dopiero byka. To jeszcze można złożyć na umowność obowiązującą w teatrze, niestety, odstawili swoją część baleciku jeszcze bardziej nieprofesjonalnie. Jednemu udało się nawet zawinąć wykładzinę przy piruce. I tak tańczyli, cyganki majtały spódnicami, wykładzina była zawinięta, obsada śpiewała, orkiestra grała, a publiczność dała z siebie wszystko, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Na szczęście akt trzeci zakończył się akcentem dramatycznym, w postaci ciśnięcia przylepialnych pieniędzy na główną bohaterkę. Kurtyna opadła i niestety zaraz się podniosła, przez co tenor, który akurat wstawał z kolan, musiał szybko i z niewyraźną miną klękać z powrotem.

W ostatnim akcie niestety nic ciekawego oprócz śmierci sopranu się nie wydarzyło, no, może oprócz tego, że śpiewała leżąc... Śpiewać leżąc na cały teatr trudną sztuką jest, i muszę przyznać, że patrzyłem na to z podziwem. Dlatego dopiero po zakończeniu biłem brawa z przekonania, a nie dołączając się do klakierów, którzy bezwstydnie zaczęli klaskać, kiedy kończyła się w zasadzie każda aria (czasem nawet orkiestra jeszcze grała). W każdym razie, SKNH gremialnie stwierdziło, że Teatr fajną zabawą jest, i że powtórzymy w ferie. *Odchamili my się* powiedział gromko NW-Gensek, wsiadł do samochodu i odjeżdżając ochlapał przechodniów (No dobra. Nie prowadził. Ale i tak ochlapał).

Większość powrotów przebiegała bez przygód, choć wiało, lało, a nawet grzmiało – potem powiedziano, że to jakiś Cyryl był za to odpowiedzialny. Jediną jego ofiarą ze strony Koła była połamana parasolka pani Prezes (w tym miejscu Prezes żegna się z nią serdecznie i dziękuje jej za wieloletnią współpracę). I tak właśnie skończyła się pierwsza przygoda Koła z kulturą wysoką.

Kajetan Rudnicki

W okresie Drugiej Wojny Światowej życie towarzyskie na obszarach zajętych przez Wehrmacht nie zamierało całkowicie. Ludzie nadal spotykali się, dyskutowali, omawiali bieżące wydarzenia. Z tych właśnie rozmów pochodzą najczęściej żarty i anegdoty, traktujące o ówczesnej sytuacji międzynarodowej. Historie niekiedy zmyślane, aczkolwiek niejednokrotnie prawdziwe. Celem pierwszej części artykułu jest przedstawienie wybranych anegdot z okresu 1939 – 1945¹. W części drugiej, która ukaże się w kolejnym wydaniu „KIH-y” przedstawione zostaną dowcipy powstałe w czasie Drugiej Wojny Światowej, jak również te powstałe później, dotyczące jednak właśnie tego okresu dziejów.

- Jeden z Polaków przybyłych do Wielkiej Brytanii po porażce Francji w kampanii 1940 roku został zatrudniony jako mechanik w dywizji myśliwców. Idąc któregoś dnia do pracy spotkał angielskiego kolegę po fachu. Anglik pyta:
– *Polish?*
– *A zapoliłbym se, ino nie mam co!* – odpowiada Polak
Anglik nic nie rozumiał, wyciąga papierośnicę i podaje Polakowi mówiąc:
– *Smoke?*
– *A cmokne se. Dziękuję. Widzę brachu, żeś się już po polsku fajn godoć nauczył* – mówi.
- W Brygadzie Strzelców Karpackich znajdował się przez pewien czas śpiewak operowy Paweł Prokopieni. Którejś nocy w okresie walk w Libii Prokopieni wdrapał się na czołg i zaczął śpiewać po rosyjsku. Było to miejsce, gdzie włoska linia frontu biegła dość blisko polskich pozycji, tak że dzięki echu, które niesło się po pustyni, Włosi słyszeli śpiew. Po pewnym czasie w ręce Polaków oddał się bez walki cały oddział włoskich żołnierzy. Zdumieni Polacy zostali uświadomieni przez Włochów w ten oto sposób, że Rosjanie przyszli zapewne na pomoc Brygadzie, dlatego oni poddają się. Polacy odparli, że to tylko ich kolega Prokopieni śpiewał, na co Włosi odparli, iż mają w zaistniałej sytuacji tylko jedną prośbę – chcieliby zobaczyć człowieka, który dysponuje takim głosem. Pokazano im Prokopieniego.
– *E grande soldato* – stwierdzili zgodnie, oddając się do niewoli.
- Feldmarszałek Erwin Rommel zgubił się na pustyni w nocy, w drodze ze sztabu do swych oddziałów. Będąc otoczonym ze wszystkich stron drutem kolczastym zdecydował się przenocować pod gołym niebem, aby z rana poszukać swoich wojsk. O świcie, po przebudzeniu zdał sobie sprawę, że spędził noc w towarzystwie 4. Dywizji Hinduskiej (podległej dowództwu brytyjskiemu), nierozpoznany. Wymknął się niezauważony.
- Generał Metaksas² prowadził kiedyś inspekcję w bazie lotniczej. Zaproponowano mu, by wypróbował nowy hydroplan. Metaksas chętnie zasiadł za sterami maszyny, ale tuż przed lądowaniem usłyszał przez radio głos komendanta bazy:
– *Przepraszam, panie generale, lecz byłoby lepiej, gdyby pan lądował na wodzie. Proszę pamiętać, że to hydroplan.*

¹ Anegdoty przytoczone w artykule przyjmowane są za prawdziwe.

² Gen. Joannis Metaksas, w latach 1936 – 1941 premier i faktyczny dyktator Grecji.

Metaksas najwyraźniej o tym zapomniał, bo lądował już niemal na pasie startowym. W ostatniej chwili poderwał maszynę i bezpiecznie wylądował na wodzie. Wyłączywszy silnik skontaktował się drogą radiową z wieżą kontrolną:

– *Dziękuję komendancie, że nie pozwolił mi pan zrobić z siebie kompletnego idioty.*

Następnie otworzył drzwi i wyszedł wprost do morza.

- 2 II 1943 roku w Casablance amerykański żandarm zatrzymał samochód jadący z dużą prędkością. Za kierownicą siedział mężczyzna elegancko ubrany po europejsku, co wzbudziło podejrzenia u Amerykanina.

Żandarm: *Proszę się zatrzymać przy krawężniku. Nazwisko?*

Kierowca: *Sidi Mohammed ben Jussef.*

Żandarm: *Zawód?*

Kierowca: *Urzędnik państwowy.*

Żandarm: *Jaka funkcja?*

Kierowca: *Sułtan Maroka.*

- Generał Patton otrzymał ze sztabu rozkaz omińnięcia Trewiru, ponieważ jego zdobycie wymagałoby zaangażowania czterech dywizji. Kiedy ten rozkaz dotarł do generała, on już tam był ze swoim wojskiem. Generał odpowiedział: *Zdobyłem Trewir dwiema dywizjami. Czy mam oddać miasto?.*
- W jednym z raportów sytuacyjnych, złożonym przez budzących grozę w szeregach niemieckich Gurkhów, których ulubioną bronią były olbrzymie noże – *kukri*, czytamy: *Straty wroga: dziesięciu zabitych, nasze zerowe. Zużycie amunicji zerowe.*
- W czasie oblężenia Leningradu w 1941 roku, jeden z nalotów spowodował pożar wielkiego magazynu cukru. Roztopiony cukier wsiąkał w ziemię na głębokość około trzech metrów. Po ugaszeniu pożaru, niedożywieni mieszkańcy miasta wykopywali zamrożoną ziemię, żeby wydobyć cukier. Substancja ta, zwana „ziemią Badajewa”, sprzedawana była następnie w szklankach na targu, przy czym najdroższa była ta, wydobytą z pierwszego metra. Ci, którzy nie zdecydowali się na sprzedaż, zabierali ją do domu, gdzie pieczono z niej ciasta, bądź oddzielano cukier od ziemi.

Arkadiusz Stolarek

a.stolarek@vp.pl

Literatura:

Byszewski Z., *Z Marszałkowskiej na Piccadilly*, 1946, s. 72.

Regan G., *Anegdoty wojenne*, Warszawa 2005, s.247.

JAK ROZPOZNAWAĆ RÓŻNE GATUNKI DRZEW Z DUŻEJ ODLEGŁOŚCI? (CZĘŚĆ 3)

A teraz... Nr 1. KASZTANOWIEC ZWYCZAJNY

Kartograf wertował mapy, *messer* Czepiański, mimo iż był w okolicach opisywanych dziewięć lat wcześniej zastanawiał się, czemu nikt go nie słuchał i czemu szliśmy, jak

szliśmy. Na rozstaju dróg koło podjęło kolektywną decyzję, by iść w prawo. Jakże się pomyliliśmy. Droga się dłużyła, jechanie kończyło, a celu naszego nie dało się zauważyć. Pani Opiekun co rusz odbierała telefony mające nas nakierować na właściwą drogę. Właściwe rzecz ujmując, nie przejmowaliśmy się zbytnio, gdyż jak powiedział *messer* Czepialski *Zawsze do jakiejś drogi dojdziemy, a wtedy już się coś wymyśli*, jednak myśl o tym, że reszta osób biorących udział w rajdzie spożywa w tej samej chwili gorącą zupę, przyprawiała nas o zazdrość. Maruda zwłaszcza niejednokrotnie zauważał, że najchętniej by coś skonsumował, lecz zapomniał o tym, gdy w pobliżu pojawił się tajemniczy pies, który, według niego, wyglądał niepokojąco. Pokręcona była to uprzejma skomentować w sposób następujący:

– ...

Loozak, jak to on, zachowywał się stoicko, Czepialski się czepiał a KKWSUNWKSNU zachowywała się, jak to ona. Kartograf natomiast studiował mapę z nadzieją, że na miejscu będzie ognisko i kielbaski. Mimo tych zabiegów udało się, dotarliśmy na miejsce¹. Okazało się natomiast, że nie możemy przystąpić do spożywania białego barszczu z kielbasą, gdyż wpierw trzeba zwiedzić bunkier. Fakt ten niezbyt nas ucieszył, jednak postanowiliśmy na to przystać. W gruncie rzeczy nie mieliśmy wyboru, wszak nie my rozporządzaliśmy rozdawaniem racji żywnościowych. Bunkier przyjemnie nas zaskoczył. U wejścia witał nas wzmiankowany wyżej Sierżant. Zostaliśmy szczegółowo zapoznani z historią zwiedzanego bunkra i innych w centralnej Polsce, i tylko Czepialski mamrotał, że to wie, albo, że pan pokazuje jedną część miasta, a mówi o drugiej. Wokół pełno było różnego rodzaju broni od karabinów po moździerze. Dodatkowo postanowiono nam zafundować przejście podziemnym tunelem poza bunkier. To była przygoda... Zbutwiałe szczeble drabiny, sufit na wysokości pępka i niesłychana frajda. Jakbyśmy znów byli dziećmi korzystającymi z dobrodziejstwa placu zabaw, którego poszczególne części w każdej chwili mogły nas przygnieść. Adrenalina niesłychana. Po wydostaniu się z budynku nie omieszkaliśmy wykonać kolejnego zdjęcia grupowego, po czym udaliśmy się na spotkanie z żołnierzami, którzy byli w Iraku. Kto chciał, zadawał im pytania, kto nie, ten bawił się bronią. Tak czy inaczej po wszystkim wykonaliśmy sobie z żołnierzami zdjęcie².

I wreszcie, po długich oczekiwaniach Koło udało się na zasłużony obiad. Był doprawdy bardzo smaczny, a może tylko tak się nam wydawało. Faktem zaś pozostaje, że w chwili, gdy zaczęliśmy spożywać, zapadła cisza.

Gdy już nie odczuwaliśmy tak intensywnie pracy kiszek, można było iść, obejrzyć rekonstrukcję bitwy. Złożyło się jednak tak, iż kiedy doszliśmy na miejsce, było już po bitwie. Nie przeszkodziło nam to sfotografować się z żołnierzami polskimi oraz rekrutami Wehrmachtu. Maruda dostał niemalże OBS na widok niemieckiego motoru, a Szacowny Doktorant niezwykle celnie zauważył, iż jeżeli polscy żołnierze byli takimi cherlakami, to nie należy się dziwić, że przegrali zbrojną konfrontację z bojownikami III Rzeszy. Loozak zaś został obdarowany łuską, którą wszyscy się bali wziąć, jednak *post factum* Pani Prezes zdawała się być nią zainteresowana w jakimś przyziemnym stopniu.

A teraz... Nr 1. MODRZEW

Po tych emocjonujących wydarzeniach odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów uczestnikom rajdu. SKNH podczas kolejnego NZK zastanawiało się czy dyplom powinna odebrać Pani Prezes czy może Pani Prezes. Ostatecznie, decyzją kolektywu dyplom odebrała Pani Prezes. Jakież było jednak nasze zażenowanie, gdy okazało się, iż NZK zostało

¹ Na szczęście nie byliśmy ostatni. Gorsza od nas była bowiem szkoła specjalna.

² Jeżeli czytelnik nie zauważył jeszcze, że zdjęcia grupowe są fetyszem SKNH, to niniejszy przypis go o tym informuje.

sfilmowane, jak się nam zdaje profesjonalną kamerą. No to pięknie, przemknęło przez nasze umysły. By jednak obciach sięgnął zenitu, postanowiliśmy dokończyć zebranie, bijąc sobie co rusz Brawo³.

Z dyplomem w rękach udaliśmy się do autokaru. Trochę zmęczeni, acz zadowoleni, choć Kartograf nie doczekał się upragnionego ogniska z pieczeniem kiełbasek.

Wreszcie nasze nogi mogły odpocząć, Pani Prezes zaś dywagować z Loozakiem o współczesnym feminizmie. W godzinę byliśmy w Łodzi, gdzie pożegnawszy się z Panią Opiekun i autokarem, który wydał się nam sympatyczny z zewnątrz, jak i wewnątrz, poszliśmy na zasłużoną porcję bursztynowego trunku.

SKNH zgodnie zalicza wycieczkę do bardzo udanych, zarówno pod względem intelektualnym, jak i towarzyskim. Jedyne nad czym ubolewa to, że kilku PDK nie mogło wziąć udziału w rajdzie z powodów zdrowotnych i zawodowych.

Niniejszym kończymy relację z 9. Lekcji Historii, w której zaszczyt i przyjemność miało wziąć udział Studenckie Koło Naukowe Historyków.

MODRZEW.

Przemysław Damski

W DNIACH 18-21 KWIETNIA BĘDZIE MIAŁ MIEJSCE W
INSTYTUCIE HISTORII UNIwersYTETU ŁÓDZKIEGO

XV. JUBILEUSZOWY OGÓLNOPOLSKI ZJAZD HISTORYKÓW STUDENTÓW.

JEŻELI CHCESZ POMÓC, MASZ POMYSŁ NA CIEKAWĄ PROMOCJĘ MIASTA I NASZEJ *ALMA MATER*,
LUB PO PROSTU CHCESZ POSŁUCHAĆ WYGŁASZANYCH REFERATÓW, ZGŁOŚ SIĘ DO NAS!

JEDNOCZEŚNIE CHCEMY PRZYPOMNIEĆ, ŻE KOŁO ZAPEWNIĄ MOŻLIWOŚĆ SAMOREALIZACJI
SPOŁECZNEJ I NAUKOWEJ, ZATEM JEŻELI CZUJESZ POTRZEBĘ DZIAŁANIA, JESTEŚ POZYTYWNI
NASTAWIONY(-A) DO OTOCZENIA, MASZ DYSTANS DO SIEBIE, ZAPRASZAMY CIĘ, BYŚ WSTĄPIŁ(-
A) W NASZE SZEREGI.

SPOTYKAMY SIĘ W PONIEDZIAŁKI W P. 102 LUB W S. 203.

Zespół redakcyjny: Przemysław Damski, mgr Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak,
Kajetan Rudnicki, Sylwia Wielichowska.

Współpraca: Wojciech Bogusławski, Aleksandra Bohusz, mgr Arkadiusz Dąbrowski,
Arkadiusz Stolarek.

Rycerzyka projektował Przemysław Damski.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii
Uniwersytetu Łódzkiego**

Nakład 250 egz.

³ Nie mylić z Benedetto Bravo. Zabranie ze sobą pana profesora tylko po to, by traktować go razami przy okazji każdego NZK zostałyby z pewnością zauważone przez Helsińską Fundację Praw Człowieka i skierowane do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, a SKNH jest obecnie zbyt zajęte, by się przed nim stawiać.